

Henryk Nowogródzki

Przebaczcie sędziom...

Palestra 21/7(235), 86-88

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

HENRYK NOWOGRÓDZKI

Przebaczcie sędziom...

Wykłady tradycyjne, nawet w dydaktyce na uniwersytecie, ustępują miejsca seminarium czy kolokwium. Pracownicy nauki wyższych uczelni powiadają, że fakt ten należy po prostu przyjąć do wiadomości, że należy pogodzić się z tym zjawiskiem. Gdy więc w ubiegłym roku zaczynaliśmy na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego cykl wykładów zainicjowanych przez Zespół do Spraw Wymowy Sądowej OBA, wielu naszym obawom towarzyszyła również i ta, że będą to — z katedry uniwersyteckiej — wystąpienia właśnie zbyt tradycyjne, że będą to wykłady. Przekonaliśmy się niebawem, jak wiele jednak zależy tu od wykładowcy. Gdy przez salę niosły się szmery i szepty, niekiedy szepty sceniczne, które na sali teatralnej słychać nawet w ostatnim rzędzie, nie było wątpliwości, że wykładowca nuży i nudzi. Gdy jednak w auli zapanowała cisza, był to znak nieomylny, że wykładowca wygrał.

Rzecz więc nie w formie i kształcie nauczania, lecz w treści wykładu, w indywidualności wykładowcy, w tym, co ma on do powiedzenia i przekazania, w sposobie tego przekazu.

W szkoleniu naszych aplikantów także występuje tendencja jeśli nie do wyparcia tradycyjnego wykładu, to w każdym razie do zastąpienia go taką formą, która wywołuje samodzielność myślenia aplikanta, jego głębsze zainteresowanie przedmiotem.

Co to jest samodzielne myślenie? Nie pójdę na pokuszenie — niepodobna bowiem tego określić. Jest to przecież proces intelektualny, przetwarzający uzyskaną wiedzę, czy choćby informację, w kształt myślenia odkrywczego, choć niekoniecznie nowatorskiego. A jednak — jak spostrzegam — poszedłem na pokuszenie, ale już się wycofuję z tej drogi. Żadna próba określenia, żadna definicja nie będzie udana. To tak, jakby się chciało objaśnić, czym jest natchnienie. Natchnienie? Czy ono jeszcze w ogóle jest?

Powiedział kiedyś publicysta Krzysztof Teodor Toeplitz (KTT), że pisać z głowy, to znaczy z niczego. Jest to oczywiście pyszny błysk znakomitego felietonisty. Zależy — jak sądzę — z jakiej głowy, czym napełnionej, zanim jej nosiciel zabrał się do pisania.

Tak więc dobrze przygotowane wykłady gromadziły w Audytorium Maximum studentów prawa, którzy z bezbłędną intuicją, bo chyba jeszcze nie z posiadaną wiedzą, oddzielali nudę od interesującej formy i treści.

Wracam do szkolenia naszych aplikantów. Oczywiście szkolimy i kształcimy przyszłych adwokatów. Staną się nimi w niedalekiej przyszłości. W nieodległej przeszłości mają za sobą studia uniwersyteckie, egzamin, aplikację sądową i znów egzamin — tym razem sędziowski. Nauczanie ich tekstów kodeksów, ustaw — jest oczywiście nieprzydatne. Trzeba stale pamiętać, że kształcimy przyszłych adwokatów. A więc nauczanie prawa służącego czy przydatnego interesom obrony. Myślę

tutaj o prawie karnym, o procedurze karnej, a zadaniach adwokata, o problemach etyki adwokackiej, o tajemnicy adwokackiej, o występujących konfliktach sumienia.

Nie czuję się kompetentny, aby zabierać głos w problematyce cywilistycznej.

Nie ma miejsca w szkoleniu aplikantów dla takich wykładowców (a bywali tacy jeszcze w nie tak odległym czasie), którzy odczytywali teksty ustaw, zdobywając się jedynie na wąty komentarz.

W naszej Izbie warszawskiej zorganizowaliśmy ostatnio — w drodze swoistego eksperymentu — spotkanie naszej młodzieży aplikanckiej z człowiekiem spoza adwokatury, spoza kręgów prawniczych. Człowiekiem tym był Aleksander Bardini, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Nie od razu godził się na ten wykład, prelekcję czy spotkanie. Miał mówić o mówieniu, ale od razu owo spotkanie (wykład czy prelekcja) nabrało innego charakteru. Prof. Bardini nie chciał mówić o mówieniu, ale snuł rozważania o słowie, o sposobie szlifowania wyrazu. Opowiedział, że aktor, który staje przed publicznością, musi nią zawładnąć. Krąży wśród aktorów taki pogląd, że oto na widowni zasiedli ... wrogowie. Trzeba ich pokonać, trzeba ich zdobyć, trzeba zwyciężyć, trzeba ich sobie zjednać. „Sądzę — mówił Bardini — że tak samo jest z wami. Musicie zjednać dla siebie sędziów, przekonać ich o słuszności waszej sprawy, musicie ich zdobyć dla waszych argumentów”.

Wtedy padł z sali głos młodej aplikantki:

— No tak, ale my nie mamy jeszcze ciekawych spraw, które dają pole do popisu.

Musiałem się w tym momencie ja włączyć. Jako nie mają ciekawych spraw? Dla naszego klienta każda sprawa, jego przecież sprawa, jest nad wyraz ciekawa. W każdej sprawie jest zawarta cząsteczka losu, w każdej sprawie wyrok tworzy nie tylko skutki sądowe, ale i pozasądowe.

— Niechże pani powie, miła koleżanko, o jakiejś swojej sprawie.

— To była banalna sprawa, takiego chłopca z Domu Dziecka o zwykłą kradzież.

Bardini aż podskoczył.

— Chłopiec z Domu Dziecka? Przecież to kapitalny temat! Olbrzymie obszary społecznych refleksji, rozważań, dociekań, przemyśleń, pedagogiki.

I od razu zaproponował, aby słuchacze dali próbki przemówień obrończych, jakie należałoby wygłosić w sprawie chłopca z Domu Dziecka.

Zapanowało milczenie, nawet konsternacja. Zamiast przemówienia ta sama aplikantka zaczęła dzielić się swymi wrażeniami z okresu aplikacji sądowej, kiedy, bardziej zbliżona do sędziów, mogła stwierdzić — jak mówiła — nieprzydatność adwokackich wystąpień i obrończych argumentów wobec sędziowskiej obojętności na adwokackie słowa.

Tyle pesymizmu na początku, na samym początku jeszcze nie rozpoczętej adwokackiej pracy!

Był to jednak głos odosobniony. Aplikanci oponowali, sprzeciwiali się. Dyskusja się rozgrzewała.

Ileż to wyroków zapadło na podstawie właśnie adwokackich, obrończych argumentów! Ileż wyroków nieprawidłowych zostało zmienionych lub uchylonych w wyniku adwokackich rewizji, zmienionych i uchylonych w toku instancji. Właśnie takich nie słuchających sędziów trzeba zdobyć celnym, trafnym, nośnym słowem.

Diskusja zabrała tak wiele czasu, że już go nie starczyło na podjęcie przemówień w sprawie chłopca z Domu Dziecka.

Czy istotnie tak jest, jak mówiła ta miła dziewczyna? pytał mnie potem prof. Bardini. — Co wy robicie, aby zwalczyć ten pesymizm? Czy ta miła dziewczyna miała rację?

Rozmawialiśmy długo. Dźwięczał nam w uszach głos aplikantki, głos rezygnacji.

*

Wieczorem czytałem piękną książkę Henryka Swolkienia o wielkim rosyjskim kompozytorze Piotrze Czajkowskim. Jest to iście benedyktyńska praca, oparta na listach, których Czajkowski napisał tysiące. Zachowały się. Swolkień wyrzeźbił z nich prawdziwą ludzką postać wielkiego twórcy.

Znalazłem tam również informację, która nas, prawników, zainteresuje szczególnie. Piotr Czajkowski był elewem Szkoły Prawoznawstwa, a potem przez cztery lata urzędnikiem w petersburskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Rzucił prawo dla muzyki, na pewno szczęśliwie, choć jego życie nie było — jak to się mówi — usłane różami. Wiele było w tym życiu tragizmu, związanego także z naturą tego człowieka.

W jednym z listów pisał do swego brata, także studenta tej uczelni:

„Nawet głupi prawnik może być jednak przyzwoitym człowiekiem (...)”.

(A mądry? — to już mój dopisek).

W innym z listów Czajkowski pisze: „Muzyk powinien się wystrzegać obłądnego mędrkowania i tworzyć tak, jak Bóg mu przykazuje”.

Czy nie odnosi się to także do nas? Bez mędrkowania bronimy tak, jak nam nakazuje obowiązek.

Niezależnie od Czajkowskiego tę samą myśl wyraził Musorgski:

„Twórz, jak ci serce dyktuje, a sędziom przebacź”.

Tymi sędziami byli znawcy, krytycy, eksperci — dziś powiemy: muzykologdy. Bo sędziowie są wszędzie nad wszystkim, nie tylko za stołem sędziowskim.

Przebacźcie więc sędziom...

NOTATKI

Obrona pracy doktorskiej adw. Henryka Makarewicza

Na posiedzeniu Rady Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego w Sopocie odbyła się w dniu 17 grudnia 1976 r. publiczna obrona pracy doktorskiej adwokata Gdańskiej Izby Adwokackiej Henryka Makarewicza pt. „Dzieciobójstwo w polskim prawie karnym”.

Rada Wydziału pod przewodnictwem dziekana prof. dra hab. Donalda Steyera jednomyślną uchwałą nadała adwokatowi Henrykowi Makarewiczowi stopień doktora nauk prawnych. Promotorem pracy był doc. dr hab. Henryk Popławski, a recenzentami — prof. dr Włodzimierz Gutekunst, prof. dr hab. Aleksander Ratajczak i prof. dr hab. med. Stefan Raszeja.

Rozprawa doktorska adw. H. Makarewicza ma charakter dogmatyczno-prawny i kryminologiczny. Składa się z 235 stron tekstu i zawiera m.in.: wykaz powołanych w pracy kodeksów karnych 32 państw i 10 republik radzieckich, wykaz 19 zestawień liczbowych dotyczących przestępstw dzieciobójstwa popełnionych w Polsce w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat, wykaz sygnatur zbadanych przez autora 398